



Stefan Żeromski - Przedwiośnie, część 7.

W Nawłoci Baryka nie może znaleźć sobie miejsca. Zabija czas grą na fortepianie na cztery ręce z panną Wandą. Ta wyznaje mu miłość, ale zostaje odrzucona.

Pewno dnia Cezary zostaje wezwany do Karoliny. Ksiądz informuje Barykę, że Karolina umiera i chce się z nim widzieć.

W pokoju nie było nikogo. Z nagłą wszedł ksiądz Anastazy. Szlochając, gestem nie znoszącym przeczenia wsunął prawą rękę Cezarego w zimną, drgającą dłoń Karoliny, okręcił obiedwie ręce stulą i począł szepcąc łacińską modlitwę kreślić znaki krzyża nad tymi rękami związanymi.

Twarz Karoliny złagodniała. Światło białe przez nią przeleciało. Wśród nadludzkich, widać, boleści przebił się uśmiech. Gościł przez chwilę na wargach czarnych jakby z żelaza. Cezary nachylił się i złożył pocałunek na wargach, których pierwszy dotknął ustami – i ostatni. Odskoczył, bo usta te bezwładnie się rozchyliły i, wśród jęku potwornego, cały język spomiędzy nich się na zewnątrz wywalił. Jeszcze raz, drugi, jęk się powtórzył – i wszystko ustało dziwnie raptownie. Lekarz przyłożył ucho do piersi Karoliny. Długo słuchał. Strzepnął palcami, podniósł się i począł sprzątać swe statki, szukać porzuconego paltota i kapelusza. Karolina umarła.

Ksiądz oświadcza, że nie było to samobójstwo. Truciznę miała podać Wanda, ale nie było na to żadnych dowodów. Śmierć Karoliny specjalnie nie obchodzi Baryki.

Cezarego w domu Laury spotyka jej narzeczony. Demaskuje kochanka i wyrzuca go z domu.

– Wyjdźże pan stąd! Wyjdź stąd! Wyjdź stąd!

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

– Dobrze. Pójdę. Zaraz pójdę. Chciałem tylko...

Nie wiedząc, co już gada, dorzucił:

– Chciałem wam, mili, poprawni narzeczeni, dać moje błogosławieństwo na nowe, zyskowne gospodarstwo.

To mówiąc smagnął Laurę szpicrutą poprzez twarz i rozstawione ręce. Po czym ze szpicrutą w ręce wyszedł.

Zrozpaczony Baryka chce wyjechać na jakiś czas do Chłodka. Nie mówi o swojej sytuacji Hipolitowi. Przyjaciel strofuje go jednak:

Ech, ty głupcze! Ty dardanelski ośle! Zmarnowałeś Karusię! Uradziliśmy byli tutaj w rodzinie, żeby Karusię jakoś wyposażyć. Postanowiliśmy dać jej ten Chłodek w posagu. Zdawało się, że ty ją lubisz. Marzyłem: pobiorą się, osiadą na tym Chłodku. Myślałem, że będziemy przez życie nasze sąsiadami. Ech, ty głupcze!...

We wsi Cezary mieszka u ekonoma Grubaszewskiego. Poznaje wieś i dziwi się, że chłopci nigdy się nie buntują. Od Hipolita dowiaduje się o ślubie Laury. Wraca do Warszawy. Na studia medyczne. Mieszka razem z kolegą przy ulicy Miłej.

Pokój mu się jednak nie podobał. Był mały – na jakie dziesięć lat przed wojną europejską pomalowany na kolor zupy pomidorowej – jakiś nieporęczny a nadto przewiewny. Nie wiało jednak z okna i ze drzwi czyste powietrze, lecz zapach pewnych niezbędnych ubikacji, które mieściły się na dole wprawdzie, lecz właśnie pod oknem tego pokoju. Nadto stał tuż za murem blaszany komin piekarni, który, jak zawzięty diabeł, walił wciąż w okno studenckie kłębami burego dymu. W nocy słychać było nieustający hurgot wózków z pieczywem, pędzonych ręcznie z pieca chlebowego, od czego cienkie, choć tak stare mury drżały jak w febrze. Nie był to, słowem, pokój przyjemny. I Buławnik nie był przyjemnym towarzyszem: egoista i skąpiec za dnia, prześmiewca i ordynus wieczorem, w nocy chrapał za dziesięciu. Lecz Baryka nie miał wyboru. Musiał korzystać z układu z tym kolegą, gdyż pustki miał w kieszeni.

By się utrzymać Baryka sprzedaje frak, w którym całował świętej pamięci Karolinę. Kryzys się pogłębia i zwraca się do starego przyjaciela matki, Gajowca. W jego pokoju widzi portrety wielkich „warszawiaków”: Mariana Bohusza, Stanisława Krzemińskiego oraz Edwarda Abramowskiego. Nie ma o nich zielonego pojęcia.

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

Tamci ludzie, których widzisz na tych podobiznach, żyli podczas najsroźszej zimy. Patrzyli na życie dalekie poprzez obmarznęte kraty. Jakże mieli dać nam prawdziwą wiadomość o życiu ludzi spracowanych w warsztatach i po norach? I my sami jeszcze nie wiemy, co i jak, gdyż dopiero pierwszy wiosenny wiatr powiał w nasze twarze. To dopiero przedwiośnie nasze. Wychodzimy na przemarznięte role i oglądamy dalekie zagony. Bierzymy się do własnego pług, do radła i motyki, pewnie że nieumiejętnymi rękami. Trzeba mieć do czynienia z cuchnącym nawozem, pokonywać twardą, przerośniętą caliznę.

Wychodząc na wykłady i do prosektorium, wracając z lekcji czy z miasta, Baryka musiał przemierzać dzielnicę zamieszkaną przez Żydów. Byli oni co prawda rozproszeni we wszystkich okolicach Warszawy, lecz w tej osiedli jako masa jednolita, tworząc zamknięty organizm o kilkuset tysiącach jednostek. Zrazu widok domów, mieszkań i sklepów żydowskich mierzył oczy przybysza swą specyficzną ohydą, później jednak poczęł go zaciekawiać, a wreszcie narzucił mu się wszechwładnie jako problemat. Chwile wolne Cezary poświęcał na zwiedzanie przyległych ulic: Franciszkańskiej, Świętojerskiej, Gęsiej, Miłej, Nalewek i innych.

Żydzi zamieszkujący lub zatrudnieni w tych stronach tworzyli tak zwane getto. Lecz to ich osiedlisko nie powstało w przeszłości, nie miało za sobą historii. Same nazwy ulic wskazywały, że tak nie było. Nikt ich tutaj nie osadzał osobno, jak, dajmy na to, papież Paweł IV w Rzymie aby się z chrześcijanami nie stykali, nikt ich nie zmuszał do zamieszkania tutaj właśnie, a nie gdzie indziej. Sami spłynęli w tę dzielnicę, zeszli się tu jedni do drugich, a przyrastając stale, stworzyli samochcąc getto. W tych ulicach ginęły już napisy polskie na sklepach, składach i warsztatach. Zastępowały je napisy żydowskie. Polaków nie było tu już widać. Trafiały się domy, gdzie jedynym Polakiem był stróż kamieniczny, i ulice, gdzie jedynym Polakiem był policjant.

Ulice te mają wygląd srogo niepowabny. Kamienice wzniesione przez Żydów i do nich należące mają cechę wielkomiejskiej tandety, bezwstydną ordynarności i haniebną brzydoty. Wojna odarła je z olejnych lub klejowych pomalowań. Malowanie na olejno poskręcało się w rurki i zwoje i wygląda na powierzchni tych domów jak niechlujne pejsy na niechlujnym Izraelicie. Wnętrza domów, podwórza są odarte nie tylko z olejnej czy klejowej powłoki, lecz obłupione z tynku, który kawałami i płatami poodpadał. Świeci nagi, ceglany mur, lecz i on jest oślizgły od brudu, pełen wyrw, plam, zmaz, zacieków i wstrętnych zapaprań, które nikogo z mieszkańców nie rażą. Jakże potworne są tam kloaki, śmietniki, ścieki, zlewy, rynsztoki i same bruki! Większość dziedzińców jest ciemna, poprzegradzana, zastawiona, pełna pak, odpadków, rumowia i rupiec, strzępów i gałganów. Nieopisana jest melancholia tych dziedzińców, głuchy jest smutek okien wiecznie patrzących w smrodliwe i obmierzłe zaułki, w odarte i pozaciekane mury, w sienie i piwnice wyziewające zgniliznę.

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

Baryka pracuje dla Gajowca, porządkując papiery. Starzec pisze książkę o Polsce. Cezarego odwiedza student prawa – cherlawy Antoni Lulek.

O czymże to Lulek dyskutował z Baryką? Otóż przeważnie o jego przejściach bakińskich i moskiewskich. Lulek nigdy nie widział Rosji, nie znał ani Moskwy, ani żadnej tam Tuły, a jednak był poinformowany o sprawach rosyjskich, jakby tam właśnie spędził całe życie. Wszystko to z książek, pism i pisemek. Fenomenalna pamięć pozwalała mu mieć na zawołanie cytaty ze wszystkich dekrétów wszystkich najcudaczej zwanych władz bolszewickich, daty, cyfry, dosłowne teksty rozporządzeń, brzmienie ustaw, dokładne formuły przemówień wodzów i dokładne teksty opozycyjnych zaprzeczeń. Wiedza Lulka obracała się w granicach nakreślonych przez te właśnie doktryny, ujęte w ramy tych właśnie praw i wyjaśnień.

Nadto Lulek był nie lada (tak zwanym) "psychologiem". Umiał orientować się w nawale faktów przytoczonych przez młokosa, umiał wyczuć naturę jego uniesień oraz siłę rzeczywistą zwątpień i rozzarowań.

W te właśnie miejsca, w te obolałe okolice umiał we właściwej chwili pchnąć długim pugińcem szyderstwa i zjadliwej drwiny. Baryka znalazł się pod urokiem i niepostrzeżenie, z wolna przechodził pod władzę duchową Lulka...

Nadszedł czas, że Cezary poczynił "psychologowi" pewne zwierzenia co do Nawłoci i Leńca. Nie powiedział, oczywiście, wszystkiego, ale o tym i owym napomknął. Tamten słuchał z nadzwyczajną uwagą, podparłszy nagą brodę nagą pięścią. Nie wtrącał się do tych spraw radą żadną ani uwagą, ale widać było, że przywiązuje do półspowiedzi młodzieńca pewne znaczenie. Dla Baryki potrzeba wyznania była koniecznością duszy. Jakżeby pragnął powiedzieć wszystko, wszystko! Zrzucić z serca kamienie, które je uciskały, dokonać spowiedzi, którą mu swego czasu proponował ksiądz Anastazy! Lecz nie można było z Lulkiem popadać w romanse tego rodzaju, gdyż on czego innego w tych aferach poszukiwał. Chodziło mu o zgorzknienie Baryki, o jego przejście do stanu odrzy - co to owijać w bawełnę! - do stanu zemsty. W tym celu Lulek używał pewnych skrótów.

Mówił o szlachcie, o klasie próżniaczej i przeżytej - nie "szlachta", nie "burżuazja" czy tam inaczej, lecz - "nawłoc". O zepsuciu, nikczemności, zgniliznie duchowej kobiet sfery ziemiańskiej, w ogóle mówił "laury, laurynki". Grubą, bezmyślną szlagonierę nazywał "barwiccy". Ten sposób w pewnej mierze dogadzał uczuciom Cezarego, jakoś był

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

mu na rękę. Sam w rozmowach używał nieraz tych samych określeń. Nic to, że potem czuł w sobie drżenie i żrący gniew za to, że się z tym wszystkim obnaża i obgaduje.

Ale Lulek umiał panować nad tymi przelotnymi refleksami. Rzucał przed oczy przyjaciela obrazy biedy ludowej jeszcze nie widziane i po prostu żgał go w serce. Poruszał w nim wszystko widziane dawno i niedawno - przypiekał żelazem rozżarzonym w wielkim ogniu cierpień proletariatu i nędzarzy. Nie dał mu wracać w wydeptaną, wygodną kolej uczuć i popędzał go na nowe drogi. Czy Lulek sam odczuwał cierpienia uciemiężonych? Bóg go raczy wiedzieć! Mówił o tych cierpieniach utartymi formułami, w sposób zawsze jednaki, sumaryczny i ujęty w nieodmienne epitety, co było nudne i tak jałowe, że aż ohydne, a jednak zawierało w sobie prawdę nagich rzeczy.

Rzeczownik "proletariat" wymawiał w pewnym skrócie sylabowym, jakby ten wyraz od częstego obracania go w ustach i ośliniania jego językowych kantów stał się gładki, okrągły i miękki. Rzeczownik "rewolucja" wymawiał z pewnym poświstem i przygwizdem, który w tym wyrazie wydawać się zdawał podniebieniowy dźwięk c. Szczególną antypatią, nienawiścią, odrazą, wzdargą i drwinami Lulek darzył miejscową organizację socjalistyczną z odcieniem narodowym. Gdy mówił o ludziach i działaniach tego zespołu i środowiska, nos jego przybierał kolor jasnozielony, a oczy zawściagały się bielmem. Na inne partie - "burżuazyjne", narodowe, ludowe, postępowe i katolickie czy bezwyznaniowe - zapatrywał się z większą łaskawością, po prostu dlatego, że nienawiść w jego duszy wzrastała w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do różnic ideowych: im różnice były mniejsze, tym nienawiść większa. Wszelkim enuncjacjom tych partii i głosom ich "czołowych" wyrazicieli Lulek nie przeciwstawiał swych twierdzeń ani zaprzeczeń. Przypatrywał się jedynie owym tezom i wywodom zupełnie tak jak umysłowaniom Buławnika. Był przecie w posiadaniu prawdy, po cóż tedy było psuć sobie zdrowie na jakieś alterkacje z powodu takiego czy innego nacjonalizmu.

Rzeczywiście jednak ten chorowity człowiek psuł sobie zdrowie żywiąc zupełną już wrogość i nosząc w sercu zemstę względem nowo powstałej Rzeczypospolitej Polskiej. Każde niepowodzenie, pośліżnięcie, klęska czy żywiołowe nieszczęście państwa i rządu polskiego jako całości, jako jestestwa politycznego i społecznego, budziło w piersi Lulka, w jego sercu radosny śmiech. On szczerze i pilnie czyhał na śmierć tego tworu, który stale nazywał "najreakcyjniejszym skirem ludzkości". To - o czym dowiadywał się od Baryki, na przykład o pracach Gajowca - nieciło w jego duszy zgryzotę śmiertelną, mękę serdeczną, astmę duchową, która podkopywała jego zdrowie fizyczne bardziej niż choroba sama. To mogło zaciemnić jego ideał, a w praktyce odwlec nieunikniony zgon Polski. Dla przyspieszenia zaś tego zgonu Lulek gotów był poświęcić swe mizerne zdrowie i niewesołe życie. Drżącymi rękami chwycił z rana gazety, żeby przecie wyczytać coś "pomyślnego", jakąś klęskę publiczną, jakieś załamanie się grube i głębokie, jakąś kompromitację wobec zagranicy, jakąś groźbę czyjąś, zapowiedź zniszczenia rzuconą przez

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

angielskiego potentata lub niemieckiego eksgenerała. Najtajniejszym i najszczerzym jego westchnieniem, pewnym rodzajem modlitwy, było hasło:

- Tylko przetrzymać do najprędzszego końca tę "niepodległość", a wtedy jeszcze swobodniej pooddycham na świecie!

Lulek to komunista. W wojnie z 1920 roku był za bolszewikami. To różni go od Baryki. Czarek walczył po stronie Polaków. Lulek zabiera Czarka na zebranie komunistów.

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl